

LEON SAZIE.

## ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

31

Rozległy się dźwięki melodyi prostej i nieskończenie smutnej, która brzmiała, jak cichy beznadziejny płacz. Pani Broquet słuchała z twarzą ukrytą w dłoniach. Oczy miała zamknięte, a z pod powiek płynęły łzy. Nagle muzyka urwała się, a grająca osunęła się z krzesła. Pani Broquet zadzwoniła na służbę, przeniosła zemdloną na łóżko i zatelefonowała do doktora. Tymczasem starała się chorą ocucić.

— Pani — rzekła młoda kobieta, odzyskawszy zmysły — dzięki za wszystko, co pani dla mnie uczyniła, i za co nie będę mogła się odwdziżyć. Czuję, że koniec już blisko!

— O! niech pani tak nie mówi!

— Jednak tak jest! Próżno się ludzić. Gdy grałam, czułam, jak palce mi sztywniały — teraz są zupełnie martwe. Choroba czyni szybkie postępy.

— Ależ nie! Przeciwnie! To działanie lekarstwa. — Doktor Robert uprzedzał o tem.

— Dzięki pani za te słowa otuchy.

Paulin Broquet znajdował się właśnie u doktora Robert'a, gdy pani Broquet zatelefonowała. Doktor przygotował nowe serum, opakował je starannie i już miał dać znak do odjazdu, gdy służący podał mu bilet.

— Dr Jeritzu z Jokohamy!

Japończyk! — zawołał detektyw.

Tak, znam to nazwisko — jest to uczony bakteriolog, który zajmuje się specjalnie badaniem dżumy.

Dr. Jeritzu wszedł po chwili i po przywitaniu się rzekł:

— Dowiedziałem się, że pan zajmuje się rzadkim wypadkiem dżumy. Znamy ten wypadek w Japonii i mamy nań specjalny środek, który panu przyniosłem. Czy choroba trwa dawno?

— Blisko trzy dni.

— O! to późno! późno! Ale ponieważ pan już próbował innych środków, więc mamy pewne szanse. Może uda się uratować chorą.

I Japończyk wręczył doktorowi Robertowi kilka tubek, zamkniętych w żelaznej szkatułce.

Będę szczęśliwy, dodał jeśli dopomogę tem do uratowania nieszczęśliwej od strasznego losu, na jaki nie zasłużyła.

Uściskawszy mocno dłoń doktora Robert'a i detektywa — Japończyk wyszedł.

W chwilę potem samochód wioził Paulin Broquet'a i lekarza w stronę willi.

— Co pan o tem myśli? — zapytał lekarz czy mamy użyć tego środka?

— Tak! — odparł otwarcie Broquet. — Japończycy dają nam tem dowód, że walczą z nami szlachetnie i przeciwni są mordowaniu kobiet. Dzielni ludzie!

Doktor nie rzekł nic na to, myślał o chorej. Gdy stanął przy jej łóżku — z przerażeniem stwierdził szybkie postępy choroby. Ręce i stopy były sine, na całym ciele pojawiły się zielone plamy. Twarz była spuchnięta i zmieniona nie do poznania. Pomimo to doktor, zdecydowany walczyć do ostatniej chwili, zastrzyknął chorej serum japońskie. Po tej operacji pani Garitza była tak osłabiona, iż poczęła drzemać. Państwo Broquet i doktor wyszli do gabinetu.

— Muszę powiedzieć — rzekł lekarz — czego nigdy lekarz nie powinien mówić.

— Jest zgubiona?

— Tak! Nauka ludzka wobec tej choroby jest bezsilna.

— To straszne!

— Muszę przytem uprzedzić, dodał doktor — że choroba ta jest zaraźliwa w najwyższym stopniu i że pielęgnując chorą, narażacie się państwo na wielkie niebezpieczeństwo. Chcę też prosić panią, by nie wchodziła do pokoju chorej.

— Dosyć, doktorze — rzekła żywo pani Broquet — pan żąda rzeczy niemożliwej.

— Jednakże niebezpieczeństwo jest wielkie.

— Spełnię swój obowiązek do końca!

— Nie zgadzam się z pania. O ile wiem, pani Garitza nie jest ani krewną, ani nawet przyjaciółką. Pan, drogi panie Broquet, powinien wpłynąć na żonę.

— Mój mąż nigdy nie zażąda odemnie czegoś podobnego.

— Tak, zresztą jesteśmy razem.

— Cóż mam począć z szaleńcami! — zawołał doktor. — Przynajmniej dziecko trzeba zabezpieczyć!

— To już zrobione!

— Dobrze. W każdym razie, powtarzam i podkreślam, że niebezpieczeństwo jest wielkie i że trzeba być bardzo ostrożnym.

W tej chwili na korytarzu rozległ się lekki szmer. Paulin Broquet pospieszył do drzwi i wyjrzał, w korytarzu nikogo nie było. Mimo to detektyw przeszedł na palcach przez korytarz i zajrzał do pokoju chorej. Pani Garitza leżała nieruchomo z zamkniętymi oczyma.

— Spi — rzekł detektyw, wróciwszy do gabinetu.

Ale chora udawała sen, w istocie była ona przed chwilą w korytarzu i słyszała wszystko...

Zapadła noc. Paulin Broquet i doktor kilkakrotnie zaglądali do chorej, przekonawszy się, że spi spokojnie, wszyscy udali się również na spoczynek. Gdy wszystko w domu ucichło, pani Garitza po wstała z łóżka, ubrała się z trudnością i wyszła z domu.

— Moja obecność — myślała — grozi śmiercią tym zacnym ludziom, oddałę się więc i umrę tam, gdzie nikomu nie zaszkodzi.

Cierpiała straszliwie — mimo to szła wytrwale, zaciskając zęby. Zeszła ze stopni ganku. Ale tu siły ją opuściły i upadła zemdłona na ziemię. W tej chwili na ganku ukazał się Paulin Broquet, podbiegł do leżącej, pochwycił ją na ręce i zaniósł do willi.

Pani Garitza nie mogła wyjść niepostrzeżenie z domu. Paulin Broquet za wielu miał wrogów, by nie przedsięwziąć środków ostrożności. Wszystkie drzwi i okna willi były połączone drutami z dzwonkiem elektrycznym. W nocy niepodobna było dotknąć żadnych drzwi i żadnego okna willi — natychmiast w sypialni detektywa odzywał się dzwonek. Gdy pani Garitza otworzyła drzwi wejściowe, dzwonek alarmowy zbudził detektywa. Ubrał się szybko, pochwycił rewolwer i skoczył ku wyjściu, podejrzewając jakiś napad. Jednocześnie pani Broquet w szlafroku i z karabinem w rękach wybiegła na balkon.

Położono chorą na łóżku i zbudzono lekarza.

— Największym szczęściem dla niej byłoby, gdyby się nie zbudziła więcej — rzekła pani Broquet.

— Tak — odparł doktor Robert. — A jednakże obowiązek każe mi ją mimo wszystko — ratować.

Gdy chora otworzyła oczy — zawołała z przerażeniem:

Ach! oddalcie się odemnie! Zostawcie mnie samą. Narażacie się na śmierć, na cierpienia straszliwe! oddalcie się!

Pani Broquet z całym poświęceniem uspokajała ją, siedząc przy łóżku przez resztę nocy. Chora cierpiała straszliwie. Żadne środki uśmierzające ból nie działały już, krew prawie przestała krążyć. Rano otrzymano depeszę od pułkownika de Fontgrive:

„Odwagi! Sercem jestem z wami. Przybywam“.

Poprzedniego dnia Paulin Broquet wysłał l'Amorce do pułkownika, który w sprawach służbowych przebywał w sąsiednim mieście. L'Amorce ostrożnie przygotował pułkownika, oznajmiając, że pani Garitza jest ciężko chora z powodu rany, zadanej przez bandytę.

Depeszę pokazano chorej.

— Nie! Nie! Niech nie przyjeżdża — krzyknęła z rozpaczą. — Nie chcę, żeby mnie widział taką. To zańadto straszne! Nie wpuszczajcie go do mnie! Nie chcę! Nie mogę!

Pułkownik jednak przybył. L'Amorce w drodze stopniowo opowiadał mu całą straszną prawdę.

— Chcę ją widzieć — rzekł pułkownik do Broqueta, który pospieszył na jego spotkanie. Mam na to dość siły.

Siłą woli opanował straszliwy ból, nadał twarzy wyraz spokoju i przywołał na usta uśmiech. Gdy wszedł do pokoju chorej, oczy pani Garitzy wyraziły radość bez granic. Nie była w stanie przemówić słowa. Dopiero gdy pułkownik zbliżył się do niej z wyciągniętymi ramionami — zawołała:

Och! proszę się nie zbliżać do mnie! To śmierć! To zaraza!

Ale pułkownik nie zważał na to, zbliżył się do łóżka, wziął w ręce jej głowę i długo bez słowa patrzył w błękitne oczy kochanki.

Odwagi, najdroższa! — szepnął — odwagi!

Pochylił się i złożył na opuchniętych, sinych, straszliwych wargach pocałunek.

— Kocham cię! — rzekł.

Błękitne oczy nieszczęśliwej zabłysły na parę sekund żywiej — i zgasły.

Pani Garitza przestała cierpieć

## ROZDZIAŁ XXIII.

## Pułkownik de Fontgrive.

Po pogrzebie pułkownik zwrócił się do detektywa. Teraz, gdy oddaliśmy jej ostatnią przysługę, w jaki sposób ukarzymy mordercę?

— Pułkowniku — odparł Paulin Broquet — jak mam panu odpowiedzieć? Policja jest bezbronna, prawo bezsilne.

— Jakto? — krzyknął pułkownik. — Wobec takiej zbrodni? Prawo jest bezsilne?

Żeby wytoczyć sprawę, trzeba kogoś obwinić.

— To najłatwiejsze! Potem?

— Kogo obwinimy, pułkowniku? kogo?

— Jego!

— Tak, Jego! Mistrza?

— Zigomara!

— Kim jest Zigomar? Gdzie go szukać?

— W takim razie markiza don Izigo Martolo!

— Niemożliwe!

— Dlaczego?

— Dlatego, że markiz don Martolo przedstawi dowody niezbitę, że nie ma żadnego związku z tą sprawą.

— Możliwy jest dowody zbić.

— Pozwoli mi pan powiedzieć parę słów. W samym początku sprawy z Zigomarem, znaleziono w pewnym banku przy ulicy Saint-Mare zamordowanego niejakiego James Benamola. Tymczasem James Benamol żyje do tej chwili.

Innym razem walczyłem z tymże Benamolem, a okazało się później, że to był Zigomar.

Kiedyindziej zraniłem śmiertelnie markiza don Martolo, na drugi dzień rano spotkałem tegoż markiza w lasku Bulońskim.

W sali opery, podczas gdy śledziłem markiza, siedzącego w łóżu, Zigomar w krzesłach zranił sztyletem pana Simonet.

Pewnego wieczoru śledziłem w teatrze i w restauracji markiza, jednakże jednocześnie Zigomar w ministerium spraw zagranicznych przeszukiwał szafę z dokumentami.

I takich wypadków mógłbym panu naliczyć więcej.

— Jednym słowem ów tajemniczy markiz zawsze się panu wyslizguje z rąk.

— Jak waż.

— Jest jednakże sposób niechybny, któremu nie wymknie się ani waż, ani tygrys, ani sam Zigomar.

— To jest?

— Rozwalić głowę markizowi don Martolo..

— To jest sposób doskonały, rzeczywiście...

— Przekona on nas, kim jest właściwie ów markiz i czy Zigomar będzie w stanie wymknąć się...

Jednakże trzeba do tego jakiegos powodu.

— Powód zawsze można znaleźć, kiedy się tego chce...

— Tak. I rozumiem pańskie uczucia, ale niech pan zważy, jakie to może pociągnąć skutki, z kim pan staje do walki!

Pułkownik wysłuchał spokojnie, poczem odparł zimno.

— Muszę zabić mordercę pani Garitzy.

— Pułkowniku!

— Bez względu na to, jakie będą konsekwencje, muszę pomścić tę męczennicę. Muszę ukarać tego, kto zranił moje serce. Nikt i nic nie zdoła powstrzymać mego ramienia.

Była w tych słowach taka siła, taka stanowczość, że Paulin Broquet nie perswadował. Zresztą wiedział, jakie trudności pułkownik będzie miał do pokonania i wątpił, czy uda mu się osiągnąć cel. Z drugiej jednak strony obawiał się, że pułkownik może wpaść w pułapkę nastawioną przez bandytów i postanowił czuwać nad nim.

Zorganizowawszy straż dla pułkownika i dowiedziawszy się od swoich ludzi, że niema nic nowego, Paulin Broquet przebrał się za mieszczucha paryskiego, ucharakteryzował się i poszedł w stronę Pól Elizejskich, częścią w celu przechadzki, częścią, by zbadać okolice pewnego hotelu pierwszej klasy, co do którego miał pewne podejrzenia. Gdy szedł spokojnie Polami Elizejskimi, gapiąc się na prawo i na lewo, o mało nie najechał na rowerem mały groom hotelowy w brązowym uniformie. Detektyw odskoczył wczas i usłyszał wesoły śmiech chłopaka, który szybko oddalał się na swym rowerze. Jednocześnie jednak Paulin Broquet poczuł w powietrzu jakiś znajomy zapach.

Nie zdziwiłoby mnie bardzo, gdyby ten cyklista perfumował się — mruknął do siebie detektyw. — Przechodząc obok wspaniałego hotelu Stella Palace zobaczył małego cyklistę, stojącego przed wejściem i rozmawiającego wesoło z portierem. Rzmowa nagle urwała się, gdyż przed hotel zajechał